

Literatura, rzeczywistość, interpretacja

Tomasz Markiewka

Tomasz MARKIEWKA

Literatura, rzeczywistość, interpretacja

Jacopo Belbo, bohater *Wahadła Foucaulta* Umberta Eco, w jednym z rozdziałów z politowaniem rozmyśla o ludziach, którzy są skłonni wierzyć we wszelakiego rodzaju teorie spiskowe na temat tajnych zakonów, przechowujących jakoby jakąś pradawną wiedzę. Nachodzi go jednak samokrytyczna refleksja i pisze w swoim pamiętniku:

Zastanawiam się, kim jesteśmy my. My, którzy uważamy Hamleta za kogoś bardziej rzeczywistego niż nasz dozorca. Czy mam prawo ich osądzić, ja, który krąży po świecie, szukając madame Bovary, by urządzić jej scenę?¹

Belbo drwi sobie z miłośników tajnych spisków, ponieważ według niego zupełnie pomieszali oni rzeczywistość z fikcją. Na cóż innego zaś, jeśli nie na kpinę i politowanie, zasługuje człowiek, który nie odróżnia tego, co realne, od tego, co zmyślone? Bohater powieści Eco uzmysławia sobie jednak szybko, że wszystko to nie jest takie proste i nawet ci, którzy uważają się za najbardziej światłych przedstawicieli rozumu, mają kłopoty z oddzieleniem rzeczywistości od ułudy. Nam z kolei rozmyślania Belba powinny uświadomić niezwykle wagę czegoś, co pozwolę sobie nazwać „problemem rzeczywistości”. O jego istotności od dawna wiedzą filozofowie, którzy co najmniej od czasów Platona starają się za zasłoną rzeczywistości pozornej (takiej, w którą wierzą ludzie pozbawieni prawdziwej mądrości), odnaleźć rzeczywistość prawdziwą (dostępną wybranym). Belbo, obnażając swoją „chorobę”, która polega na pomieszaniu rzeczywistości z fikcją, wpisuje się w długowieczną tradycję tego rodzaju demaskacji. Według Bruno Latoura tendencja do identyfikowania i krytykowania fałszywych rzeczywistości ze szczególną siłą obja-

¹ U. Eco *Wahadło Foucaulta*, przeł. A. Szymanowski, PIW, Warszawa 2007, s. 367.

wiła się w epoce nowoczesnej, kiedy to filozofowie co chwila ogłaszali, że coś, co wydawało się prawdziwe, jest zwykłym przesądem, konstrukcją umysłu lub kultury. Joseph Mitterer dodałby z pewnością, że to pragnienie oddzielania rzeczywistości prawdziwej od tej, która tylko taką udaje, jest tak naprawdę częścią szerszej tradycji, która ciągnie się przez całą historię filozofii. Niemiecki myśliciel twierdzi, że filozofowie od zawsze przejawiają chęci do tego, aby dzielić świat na dwie nieprzystające do siebie części. Inaczej mówiąc, lubią oni postrzegać świat za pomocą dualistycznych schematów².

Nie o ogólnym problemie dualistycznego pojmowania rzeczywistości chcę jednak pisać, lecz o skonkretyzowanej wersji tego zagadnienia, czyli o związku między literaturą (światem fikcji) i tak zwanym światem rzeczywistym (takim, w którym na co dzień się poruszamy). O tym, że kwestia literatury ściśle łączy się z ontologiczno-epistemologicznymi debatami na temat rzeczywistości, przypomniał nam nie tak dawno temu Michał Paweł Markowski w swojej książce *Życie na miarę literatury*. Słusznie zauważa Markowski, że w kulturze zachodniej istnieje silna tradycja, której przedstawiciele próbują odciąć literaturę od świata. Starają się oni uczynić z dzieła literackiego byt autonomiczny, który nie ma nic wspólnego ze zgiełkiem codzienności. Mówiąc inaczej, tym, czego pragną przedstawiciele tego nurtu (m.in. Immanuel Kant, Novalis, Stéphane Mallarmé), jest „odcięcie języka od rzeczywistości i staranne podkreślanie niewspółmierności obu porządków”³. Oczywiście, najpełniej te dążenia objawiały się zawsze w stosunku do poezji, to jej język przeciwstawiano najczęściej językowi, którym posługujemy się w „prawdziwym świecie”. Tak naprawdę jednak tendencja do oddzielania literatury (lub różnych jej aspektów – jak język) od świata nie dość, że nie dotyczy tylko poezji, to przejawia się na najróżniejsze sposoby i występuje u przedstawicieli wielu, czasem znacząco odmiennych, nurtów. Sądzę, że zawsze wtedy, gdy ktoś chce przekonywać o ontologicznej inności dzieła sztuki wobec bytów innego rodzaju (np. Roman Ingarden) lub o odrębności języka fikcjonalnego wobec języka potocznego i języka pojęciowego (np. John Searle), lub o odmienności ontologicznej struktury fikcji (H. Neri-Castaneda), lub o potrzebie stosowania w odniesieniu do literatury swoistych procedur interpretacyjnych (np. Eric Hirsch)⁴ itd., to za tego ro-

² Zob. J. Mitterer *Tamta strona filozofii: przeciwko dualistycznej zasadzie poznania*, przeł. M. Łukasiewicz, Oficyna Naukowa, Warszawa 1996.

³ M.P. Markowski, *Życie na miarę literatury*, Homini, Kraków 2009, s. 33. Markowski słusznie krytykuje opozycję: życie (a więc także rzeczywistość) – literatura. Jednakże od razu tworzy on inną opozycję: życie – egzystencja, która wydaje mi się również nie do końca uzasadniona, ale to już inna kwestia. Zob. też uwagi Markowskiego wygłoszone podczas dyskusji na konferencji o *French Theory*. *Dyskusja – Wokół French Theory*, w: *French Theory w Polsce*, red. E. Domańska, M. Loba, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2010.

⁴ Zob. np. R. Ingarden *O dziele literackim*, przeł. M. Turowicz, PWN, Warszawa 1960; J.R. Searle *Status logiczny wypowiedzi fikcyjnej*, przeł. H. Buczyńska-Garewicz, „Pamiętnik Literacki” 1980 z. 2; H. Neri-Castañeda *O zasadniczych związkach między*

dzaju wysiłkami kryje się założenie, że literatura jest czymś odrębnym od rzeczywistości, od prawdziwego świata, od życia, od codzienności. Słowem, że literatura jest czymś, co wymaga od nas specjalnego potraktowania. Kiedy bowiem rozmawiamy ze sprzedawcą w sklepie, uczestniczymy w realnym życiu, gdy natomiast czytamy *Hamleta*, udajemy się do innego świata, do świata fikcji i musimy dla niego wypracować odmienny język oraz odmienne sposoby postępowania.

Zacznę od wyraźnego podkreślenia (w celu uniknięcia możliwych nieporozumień), że wyżej wymienieni badacze oddzielali tak pieczołowicie fikcję (literaturę) od rzeczywistości oczywiście nie po to, aby niczym platonicy potępić tę pierwszą, ale raczej w celu usprawiedliwienia konieczności zastosowania specjalnych metod wobec świata fikcji. Choć więc posługiwali się oni często tymi samymi dualistycznymi schematami oraz pojęciami, co myśliciele, o których piszą Latour oraz Mitterer (dlatego warto zaznaczyć to podobieństwo gestów), to zazwyczaj robili to w zupełnie innych celach. Do tego wątku jeszcze powrócę. Na razie zwróćmy przede wszystkim uwagę na to, że wspomniany dualizm (rzeczywistość rzeczywistego świata – rzeczywistość fikcji⁵) opiera się na dosyć prostym rozumieniu tego, czym jest rzeczywistość. W potocznym rozumieniu czymś rzeczywistym jest to, co widzimy, co słyszymy, czego można dotknąć. Dlatego też realny jest nasz sprzedawca a nierealny jest Hamlet. To założenie zdaje się przyjmować z góry większość badaczy zajmujących się fikcyjnymi światami lub dyskursami. Na przykład Neri-Castañeda we wspomnianym już artykule *O zasadniczych związkach między fikcją i rzeczywistością* z góry zakłada, że literatura bytuje w innej ontologicznej rzeczywistości, a jedynym problemem pozostaje opisanie „ontologicznego statusu” tejże, odróżnienie „prawd fikcyjnych” od „prawd opartych na faktach” oraz opracowanie „teorii ontologicznej prawdy fikcyjnej”⁶.

Gdyby jednak przyjąć trochę inne rozumienie rzeczywistości, takie, które sugeruje na przykład Latour (warto zastanowić się nad jego uwagami pod adresem przedstawicieli socjologii krytycznej wyrażonymi w *Splatając na nowo to, co społeczne*), według którego realne jest przede wszystkim to, co nami powoduje, co wpływa na nasze czyny, to wtedy literatura nagle okaże się być nie czymś obok rzeczywistości lub poza nią, ale integralną jej częścią⁷. Najdobitniejszym tego przykładem jest właśnie Jacopo Belbo, który nagle zdaje sobie sprawę, że takie posta-

fikcją i rzeczywistością. Badania z zakresu ontologii całościowego doświadczenia, w: Ontologia fikcji, red. J. Pańniczek, Wydawnictwo UMCS, Warszawa–Lublin 1991; E. Hirsch *Interpretacja obiektywna*, przeł. P. Graff, „Pamiętnik Literacki” 1977 z. 3.

- 5 Celowo używam takich paradoksalnych nazw, ponieważ, jak sądzę, nasze myślenie o tych kwestiach wikła się nieuchronnie w wiele paradoksów. Nie ma miejsca na to, aby szerzej o tym się rozpisywać w tym tekście, niech więc świadomość tych paradoksów pozostanie przynajmniej w stosowanym przeze mnie nazewnictwie.
- 6 H. Neri-Castañeda *O zasadniczych związkach...*, s. 104-106.
- 7 Zob. B. Latour *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. A. Derra, K. Abriszewski, Universitas, Kraków 2010.

cie jak Hamlet czy madame Bovary miały na niego większy wpływ niż jego dozorca. Wydają mu się one bardziej rzeczywiste, ponieważ to o nich rozmyślał, z nimi polemizował, na nich się wściekał, nimi się inspirował – to one oddziaływały na jego życie. Przy takim podejściu miarą przynależności do naszej codziennej rzeczywistości nie są fizyczne właściwości obiektów, ale to, jaką rolę pełnią one w naszym życiu. Jest to tym samym odejście od nazbyt pochopnie przyjmowanej tezy, że rzeczywiste jest tylko to, co podpada pod jurysdykcję nauk przyrodniczych.

Nie chodzi o to, aby udowodniać absurdalną tezę, że nie ma żadnej różnicy między sprzedawcą, którego codziennie spotykam w sklepie, a Hamletem. Różnice są, rzecz jasna, ogromne (np. sprzedawca, w przeciwieństwie do Hamleta, jest żywym człowiekiem). Rzecz w tym, aby nazbyt pochopnie nie wciskać bohatera Szekspira (razem z całą literaturą) w zupełnie odrębny, oderwany od naszego, świat. To samo doświadczenie, które uczy nas, że inne są nasze relacje i obowiązki względem sprzedawcy, a inne względem Hamleta, mówi nam też o tym, że z tym drugim obcujemy nie w jakiejś innej rzeczywistości, ale w tej samej, którą zamieszkują dozorcy oraz sprzedawcy. Należy tu odróżnić od siebie dwie tezy, które łatwo ze sobą pomylić. Pierwsza, z którą chyba każdy się zgadza, mówi o tym, że istnieją niewątpliwe różnice między Hamletem a sprzedawcą mieszkającym naprzeciwko mnie albo między wydarzeniami opisanymi w *Makbecie*, a tym, co zdarzyło się w 1410 roku pod Grunwaldem. Druga teza natomiast, ta z którą polemizuję (idąc zresztą tropem takich badaczy, jak np. Richard Rorty, Stanley Fish⁸ czy wspomniani Markowski i Latour), mówi, że zarówno Hamlet, jak i cała literatura bytuje w jakimś innym ontologicznym królestwie, które jest w jakiś sposób poza obrębem naszej rzeczywistości, a jego granic trzeba strzec za pomocą teoretyczno-filozoficznych narzędzi. Badacze tacy jak Neri-Castañeda czy Searle zdają się zbyt łatwo przechodzić od tezy pierwszej, oczywistej, nad którą nie trzeba się zbytnio rozwodzić, do drugiej, która wymagałaby jakiegoś większego uzasadnienia (a tego zazwyczaj brak).

My, spadkobiercy nowoczesnego krytycyzmu (w rozumieniu Latoura⁹), w pierwszym odruchu chcielibyśmy wykorzystać pokaźny zasób teoretycznych rozważań na temat fikcji, metafory, *mimesis* itp., byleby tylko udowodnić, iż kiedy Belbo mówi, że Hamlet jest dla niego bardziej rzeczywisty od jego dozorca, to nie myśli

⁸ Jeśli chodzi o rozmyślenia Rorty'ego i Fisha na ten temat to zob. R. Rorty *Czy istnieje problem fikcjonalnego dyskursu*, w: tegoż *Konsekwencje pragmatyzmu. Eseje z lat 1972-1980*, przeł. Cz. Karkowski, przekład przejrzał A. Szahaj, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 1998, s. 154-183; S. Fish *Z uszanowaniem od Autora; refleksje nad Austinem i Derridą*, przeł. K. Abriszewski, w: tegoż *Interpretacja, retoryka, polityka*, Universitas, Kraków 2007, s. 183-226.

⁹ Działalność krytyczna według Latoura polega na chęci oddzielenia tego, co prawdziwe, realne, rzeczywiste od tego, co tylko takie zdaje się być. Mówiąc jeszcze inaczej, działalność krytyczna polega na niszczeniu społecznych iluzji. Zob. np. B. Latour *An attempt at a „Compositionist Manifesto”*, „New Literary History” 2010 no. 3, s. 471-490.

Opinie

tak „na serio”, ponieważ żadna racjonalna osoba nie mogłaby na poważnie w taki sposób mieszać rzeczywistej rzeczywistości z rzeczywistością fikcyjną. Chcielibyśmy zatem podmienić indywidualny słownik Belba na specjalistyczny słownik teoretyczno-filozoficzny. Właśnie przed tym przestrzega Latour, gdy pisze:

Musimy przeciwstawić się idei, że gdzieś tam istnieje słownik, za pomocą którego wszystkie różnobarwne słowa aktorów [tych, którzy działają – dop. T.M.] mogą zostać przetłumaczone na kilka słów ze słownika socjologicznego. Czy będziemy mieli odwagę nie zastępować nieznanego wyrażenia [tj. takiego, które nie znajduje się w słowniku danej teorii] jakimś dobrze znanym?¹⁰

Oczywiście, Latour pisze to w odniesieniu do socjologów, ale jego uwagi (co sam często sugeruje) znajdują zastosowanie również w odniesieniu do wszelkich prób podmieniania wyrażeń używanych przez samych działających (a więc wyrażeń „obcych”, „nieznanych” dla danego słownika pojęciowego) na wyrażenia teoretyczne w celu wyjaśnienia, co naprawdę miała na myśli dana osoba, gdy wypowiadała swoje słowa.

Co dzieje się z naszym myśleniem o literaturze i jej relacji wobec rzeczywistości, gdy zaczynamy bardziej ufać słownikowi Belba (a robimy to coraz częściej), to znaczy, gdy zaczynamy bardziej ufać słownikowi, którym przecież sami na co dzień się posługujemy? Słownikowi, w którym literatura jest integralną częścią naszej rzeczywistości i może na nas oddziaływać, a nie jakimś zamkniętym królestwem, do którego opisanie potrzeba skomplikowanych pojęć. Na to, rzecz jasna, prostej odpowiedzi nie ma, zagadnienie jest bowiem zbyt skomplikowane, aby pochopnie wysuwać jakieś wnioski. Dlatego też chcę w tym tekście przyrzeć się tylko pewnemu szczegółowi. Mianowicie temu, jak przyjęcie zarysowanej powyżej przeze mnie tezy, mogłoby wpłynąć na nasze myślenie o dyskusjach związanych z zagadnieniem interpretacji dzieła literackiego.

Sam problem interpretacji jest na tyle złożony, że pozwolę sobie dokonać niezbędnych uproszczeń. Ze zgiełku dyskusji na temat interpretacji, jakie toczyły się w drugiej połowie dwudziestego wieku, daje się, jak sądzę, wyodrębnić cztery podstawowe teorie czy też poglądy na temat interpretacji, a każde z nich można przypisać jednemu z czterech dwudziestowiecznych nurtów filozoficznych. Teorie te traktują tekst jako: (1) zagadkę (strukturalizm), (2) tajemnicę (poststrukturalizm), (3) pretekst (neopragmatyzm) lub też jako (4) zaproszenie do rozmowy (hermeneutyka).

Jako przykład, który pozwoli zobrazować te cztery podejścia, wybrałem fragment *Imienia róży* Umberto Eco. Pod koniec powieści Wilhelm z Baskerville wypowiada następujące słowa:

Porządek, jaki nasz umysł wymyśla sobie, jest niby sieć albo drabina, którą buduje się, by czegoś osiągnąć. Ale potem trzeba drabinę odrzucić, gdyż dostrzega się, że choć słu-

żyła, była pozbawiona sensu. *Er muoz gelichesame die Leiter abwerfen, so Er an ir ufgestigen ist...* Czy tak się powiada?¹¹

Umberto Eco nawiązuje w tej wypowiedzi do słynnego cytatu Ludwiga Wittgensteina z *Traktatu logiczno-filozoficznego*¹². Jeśliby potraktować *Imię róży* jako zagadkę, należałoby założyć, że czytelnik dostaje do ręki fragment układanki, który z pewnością da się dopasować do reszty tekstu (pojmowanego przy takim podejściu jako coś w rodzaju spójnej łamigłówki). Zauważmy, że traktowanie tekstu jako zagadki wymaga przyjęcia założenia, że istnieje jakiś nadawca tejże zagadki (autor empiryczny bądź, bardziej już strukturalistycznie, jakieś formy autora wewnątrztekstowego), który jest gwarantem spójności tekstu. Jedyny bowiem sposób na zweryfikowanie, czy nasze rozwiązanie zagadki jest jednym z poprawnych (prawidłowych odpowiedzi jest zazwyczaj, rzecz jasna, więcej niż jedna), to „sprawdzenie domysłu z tekstem jako spójną całością”¹³. A zatem, przy takim podejściu, interpretacja przytoczonego fragmentu mogłaby wyglądać mniej więcej tak: Wilhelm, jak wiadomo, stara się rozwikłać zagadkę zbrodni dokonywanych w klasztorze, wykorzystując przy tym swoją wiedzę z dziedziny semiotyki i logiki. Jednakże pod koniec powieści okazuje się, że wiele jego rozumowań, choć były nienagane z formalnego punktu widzenia, okazało się nietrafnych i właśnie wtedy, gdy zdaje on sobie z tego sprawę, wypowiada cytowane słowa. Wittgenstein zdanie o drabinie, którą trzeba odrzucić, też umieścił na końcu swego dzieła (poświęconego w dużej mierze zagadnieniom z dziedziny logiki oraz semiotyki), sugerując najprawdopodobniej (co do tego nie ma zgody wśród badaczy dzieł niemieckiego filozofa) swoim czytelnikom, że wszelkie ustalenia, które poczynił na wcześniejszych stronach należy odrzucić¹⁴. Widać zatem paralełę między fabułą *Imienia róży* a poglądami niemieckiego filozofa – w obu wypadkach mamy do czynienia ze zwątpieniem w to, że logika oraz semiotyka są szczególnie uprzywilejowanym językiem do objaśniania świata oraz praw w nim rządzących. Kiedy więc czytelnik powieści Eco trafia na aluzję do Wittgensteina i potrafi ją odnieść do wydarzeń opisywanych w powieści, stanowi ona cenną pomoc w zinterpretowaniu całościowej wymowy dzieła.

¹¹ U. Eco *Imię róży*, s. 568.

¹² „Tezy moje wnoszą jasność przez to, że kto mnie rozumie, rozpozna je w końcu jako niedorzeczne; gdy przez nie – po nich – wyjdzie ponad nie. (Musi niejako odrzucić drabinę, uprzednio po niej się wspiawszy)” L. Wittgenstein *Tractatus logico-philosophicus*, przeł. B. Wolniewicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2004, s. 83.

¹³ U. Eco *Nadinterpretowanie tekstów*, w: tegoż *Interpretacja i nadinterpretacja*, red. S. Collini, przeł. T. Bieroń, Znak, Kraków 2008, s. 73.

¹⁴ Na temat takiej interpretacji owego fragmentu *Traktatu* zob. teksty w zbiorze *Wittgenstein – nowe spojrzenie*, red. A. Crary, R. Read, przeł. P. Dehnel [i in.], Wydawnictwo Naukowe DSW, Wrocław 2009.

Opinie

Jeśli natomiast potraktujemy tekst jako tajemnicę, interpretacja potoczy się inaczej. Czym różni się tajemnica od zagadki? Podstawowa różnica polega na tym, że w tej pierwszej jest coś, co wymyka się narzędziom rozumu, coś, czego nie można za ich pomocą opanować. Tajemnica jest więc też czymś bardziej nieuchwytnym od zagadki. O ile da się rozwikłać zagadkę, o tyle tajemnica ciągle pozostaje nieodgadniona, a jej rozwiązanie wciąż nam umyka (ciekawie o wciąż umykającym rozwiązaniu tajemnicy pisze Eco¹⁵ – przy czym nie wprowadza on rozróżnienia na zagadkę i tajemnicę, które ja tu przyjmuję), ponieważ nierzadko napotykamy przy próbie jej rozwiania na różnego rodzaju sprzeczności czy paradoksy. Gdyby potraktować *Imię róży* jako tajemnicę, można by dojść do wniosku, że aluzja do Wittgensteina sugeruje nam nie tylko, że wszystkie próby Wilhelma, aby okiełzać niekończący się korowód znaczeń spełzły na niczym, ale również, iż to samo czeka czytelnika w odniesieniu do powieści Eco. To znaczy, Wittgensteinowski fragment przypomina nam o tym, że pochodź znaczeń jest chaotyczny i nieskończony, a każda próba zatrzymania go w celu uchwycenia znaczenia (np. treści utworu) jest z góry skazana na niepowodzenie. Nie da się zatem nawiązania do Wittgensteina wpasować w jednorodną i skończoną całość utworu, ponieważ, jak sam analizowany fragment sugeruje, pogląd o „jednorodnej i skończonej całości” jest iluzją. Tym samym dzieło jednocześnie zachęca nas do wpasowania rozważanego fragmentu w całościowy sens dzieła, jak i podważa możliwość uchwycenia takiego sensu. Przy takim podejściu interpretacyjnym przyjmuje się, że sprzeczność ta kryje się w samym tekście, to znaczy, nie jest ona wynikiem arbitralnie narzuconych kontekstów czy metod (w tym punkcie traktowanie tekstu jako tajemnicy jest zbieżne z traktowaniem go jako zagadki). Jak pisze Barbara Johnson: „Dekonstrukcja tekstu nie następuje w wyniku przypadkowych wątpliwości czy arbitralnego zniszczenia, ale poprzez staranne wydobywanie sprzecznych znaczeń wewnątrz samego tekstu”¹⁶.

Interpretacja wychodząca z założenia, że tekst jest pretekstem (do różnych rozważań), mogłaby pójść w wielu kierunkach. Można by na przykład zacząć zastanawiać się nad tym, czy nawiązanie do Wittgensteina świadczy o tym, że Umberto Eco w *Imieniu róży* wdaje się w polemikę z własnymi poglądami, które wyrażał w tekstach o charakterze teoretycznym. Podobnego zabiegu – tyle, że wykorzystując do tego *Wahadło Foucaulta* – dokonał Richard Rorty¹⁷. Możliwe jest również wykorzystanie rozważanego fragmentu jako pretekstu do udowodnienia pewnej tezy teoretycznej. Na przykład takiej, że dzieła literackie daje się interpretować na kilka różnych sposobów. Można też spróbować powiązać ten fragment z dowolnym innym dziełem literackim lub teoretycznym, np. z *Krytyką czystego rozumu* i sprawdzić, co z tego połączenia wyjdzie. Kiedy traktujemy dzieło literackie jako pre-

15 U. Eco *Interpretacja i historia*, w: tamże, s. 28-50.

16 B. Johnson *Różnica krytyczna*, w: *Dekonstrukcja w badaniach literackich*, red. R. Nycz, słowo/obraz terytoria Gdańsk 2000, s. 266.

17 R. Rorty *Kariera pragmatysty*, w: tegoż *Konsekwencje pragmatyzmu*, s. 101-123.

tekst, znika strukturalistyczne założenie, według którego dane fragmenty *Imienia róży* w sposób naturalny łączą się z innymi fragmentami tej samej powieści, natomiast z fragmentami innych tekstów mogą łączyć się tylko wtedy, gdy są ku temu wyraźne powody (np. gdy napotykamy w *Imieniu róży* aluzję do innego dzieła). Gdy rozumiemy dzieło jako pretekst, tekst oraz jego autor przestają dyktować warunki, jak należy z nim postępować.

Kiedy z kolei sądzimy, że każdy tekst literacki jest zaproszeniem do rozmowy (jak na przykład uważał Hans-Georg Gadamer), to głównym naszym celem będzie próba stopienia horyzontów (własnego i tekstu), tak aby przez pryzmat własnej sytuacji dziejowej dojść do rozumienia danego fragmentu. Jaki dokładnie będzie tego wynik, to zależy w dużej mierze od osoby (od jej zaplecza kulturowego), która w ten dialog z tekstem wejdzie, jednakże za każdym razem celem jest nawiązanie nici porozumienia (choćby kruchej) z sensem danego dzieła. Przy czym istnieje tutaj założenie, że przynajmniej do pewnego stopnia sensy te są niezależne od czytelnika (w innym wypadku rozmowa zamieniłaby się w monolog). Sam tekst ma tu więc coś do powiedzenia. „Pierwszą rzeczą, od jakiej rozumienie się zaczyna, jest [...] fakt, że coś do nas przemawia”¹⁸.

Po tym krótkim przeglądzie różnych możliwych podejść do zagadnienia interpretacji tekstu pora postawić tezę, do której te rozważania mnie prowadziły. Brzmi ona tak: Nie ma żadnej ontologicznej ani epistemologicznej racji, która przemawiałaby za tym, że któreś z tych czterech podejść jest właściwsze, bardziej prawomocne. Nie ma sensu mówić (jak robili to niektórzy strukturaliści), że twierdzenie, iż tekst jest spójną znaczeniową całością, jest czymś naturalnym, to jest, opiera się na jakichś esencjalnych właściwościach samego tekstu, natomiast mówienie o jego niespójności jest wynikiem zastosowania jakiegoś modnego ostatnimi czasy podejścia filozoficznego. Tak samo nie ma jednakże większych powodów, aby twierdzić (co robili z kolei niektórzy dekonstrukcyjniści), że dzieło literackie jest z natury swojej siedliskiem sprzecznych ze sobą znaczeń. Byłoby to popełnieniem strukturalistycznego błędu, tylko że niejako od drugiej strony¹⁹. Równie bezpodstawne są neopragmatystyczne twierdzenia o tym, że nie ma w ogóle czegoś takiego jak jednorodne sensy lub wewnętrzne sprzeczności, a wszystko sprowadza się tylko do konstruowania znaczeń przez czytelnika lub jakąś wspólnotę. Mówiąc inaczej, każde z przedstawionych powyżej stanowisk interpretacyjnych jest słuszne, jeśli tylko wyrzeka się swoich totalistycznych dążeń i uznaje, że jest jednym z kilku pełnoprawnych podejść do tekstu.

¹⁸ H-G. Gadamer *Prawda i metoda*, przeł. B. Baran, Inter Esse, Kraków 1993, s. 284.

¹⁹ Rację ma Michał Paweł Markowski, gdy stwierdza, że różnica między strukturalistami a dekonstrukcjonistami polega przede wszystkim na tym, że ci pierwsi uważają, że „mechanizmy retoryczne umożliwiają scalenie wielu różnych słów w sensowny artefakt”, a ci drudzy z kolei twierdzą, iż „mechanizmy retoryczne uniemożliwiają scalenie wielu różnych słów w sensowny artefakt” (M.P. Markowski *Efekt inskrypcji: Jacques Derrida i literatura*, Universitas, Kraków 2003, s. 400).

Opinie

Wypada teraz wytłumaczyć, dlaczego sądzę, że powyższa teza jest wynikiem odrzucenia założenia o dającej się jakkolwiek filozoficznie opisać odrębności między rzeczywistością a literaturą. Otóż twierdzę, że tylko wtedy, gdy uznamy, że literatura jest czymś, co wykracza poza codzienną rzeczywistość, czymś, co z filozoficznego punktu widzenia rządzi się swoimi zupełnie odrębnymi prawami, może nam przyjść do głowy pomysł, aby starać się wypracować najsluszniejszy sposób obchodzenia się z tą fikcyjną rzeczywistością. Sam fakt, że do interpretacji tekstu literackiego można podchodzić na cztery powyższe sposoby (a także na wiele innych, które trzeba by uwzględnić, gdybyśmy zaczęli przyglądać się tej kwestii dokładniej) jest oczywisty. Spór toczy się natomiast o to, czy któryś z tych sposobów jest w jakiś dający się uzasadnić sposób właściwszy z teoretyczno-filozoficznego punktu widzenia. Sądzę, że jeśli dojdziemy do wniosku, iż literatura jest czymś, co istnieje całym sobą w naszej rzeczywistości, to sam fakt, że wypracowaliśmy i stosujemy w tej „naszej rzeczywistości” odmienne sposoby obchodzenia się z dziełami literackimi, powinien wystarczyć za dowód, że wszystkie one są równie uprawnione. Uzasadnienie jest zatem czysto empiryczne – skoro z powodzeniem stosujemy te różne możliwości odczytywania tekstów, nie ma żadnego powodu, aby zacząć je wartościować według kryterium teoretycznej zasadności. Skoro potrafię otworzyć drzwi na cztery różne sposoby, to czy jest sens zastanawiać się nad tym, który z nich jest teoretycznie bardziej uzasadniony? Czy jest sens dyskwalifikować pewne sposoby otwierania drzwi jako niezgodne z ich istotą albo z regułami świata, w którym one istnieją? Mogę odrzucić niektóre ze sposobów otwierania drzwi ze względów etycznych („Nie powinno się wyważać drzwi”), praktycznych („O wiele łatwiej będzie je otworzyć przy pomocy klamki”) bądź osobistych („Nie będę wyważał własnych drzwi”), ale nie z teoretycznych. Dlaczego z literaturą miałyby być inaczej? Czy porównywanie jej do tak przyziemnej czynności jak otwieranie drzwi ubliża jej, czy może raczej nobilituje, ponieważ pokazuje, że jest ona integralnym składnikiem naszej rzeczywistości oraz naszego życia? Tylko przy założeniu, że literatura bytuje w innym świecie, że jest składnikiem innego ontologicznego królestwa, może pojawić się myśl, iż pewne stosowane przez nas narzędzia pozwalają sobie z tym „innym światem” radzić lepiej (np. narzędzia strukturalistyczne), a inne są zupełnie niestosowne (np. narzędzia dekonstruktywistyczne) i mogą być co najwyżej wykorzystane do prywatnego użytku.

Oczywiście, możliwe jest, że lokalnie ustalimy sobie, iż w danym wypadku interesuje nas takie a nie inne podejście do tekstu. Ktoś może na przykład powiedzieć: „Na tych zajęciach potraktujmy dzieła literackie jako zagadki, nie będziemy sobie natomiast zaprzętać głowy faktem, że mogą one być także pretekstami”. Taką taktykę najczęściej stosuje się na przykład na lekcjach w szkole lub na zajęciach ze studentami. A i tam często traktuje się jakieś dzieło jako pretekst. Nie ma w takim wypadku sensu twierdzić, że dopóki traktowaliśmy tekst jako zagadkę, to stosowaliśmy wobec „rzeczywistości fikcyjnej” odpowiednie narzędzia, a teraz gdy chwilowo traktujemy go jako pretekst, to robimy coś, co może w „naszej rzeczywistości” jest normalne (bo zmiana tematu lub zmiana podejścia do niego jest czymś

zwyczajnym w codziennym życiu), ale w odniesieniu do „świata fikcji” jest trochę nie na miejscu. Należy odróżnić fakt, że w pewnych wspólnotach wypracowaliśmy odpowiednie sposoby postępowania z dziełem literackim od roszczenia, że te sposoby są w jakiś teoretyczno-filozoficzny sposób bardziej uzasadnione od innych.

Jednym z powodów, dlaczego tak długo zaprzętały badaczy literatury myśli o znalezieniu odpowiedniej metody postępowania z tekstem literackim, był bez wątpienia przykład nauk przyrodniczych, które w mniemaniu humanistów posługują się niezwykle ścisłą metodologią. Ale jak pokazują prace badaczy spod znaku tzw. etnografii laboratorium, metodologia nauk przyrodniczych wcale nie jest taka precyzyjna²⁰. Chodzi w tych naukach raczej o wypróbowanie każdego możliwego sposobu, który pozwoliłby rozwiązać zadany problem. Nauki przyrodnicze tym się różnią od literatury, że wyznacznikiem tego, czy badacz obrał właściwy sposób postępowania jest to, jak reaguje na jego posunięcia badany obiekt. Badacz musi się z nim „dogadać”, jeśli chce osiągnąć sukces i to, jak ów obiekt „odpowiada” na próby osiągnięcia „porozumienia” z nim jest miarą sukcesu naukowca²¹. W literaturoznawstwie natomiast tekst nie zbuntuje się przeciwko badaczowi, choćby ten zinterpretowałby go w najbardziej szalony sposób. Samo dzieło nie stawia bowiem oporu, opór mogą stawić ludzie, którym dana interpretacja się nie podoba. Stąd też pewnie biorą się różne pomysły, aby z góry, przy pomocy teorii, wyeliminować pewne odczytania. Sam fakt sprzeciwiania się interpretacjom, które uznajemy za nietrafione, jest jak najbardziej naturalny i słuszny. Gdy jednak próbujemy odgórnie, za pomocą teoretycznego uzasadnienia, wskazać „słuszne” metody interpretacji, zaczynamy niezdarnie naśladować nauki przyrodnicze, które wypracowały sobie co prawda pewne metody działania (nie tak ścisłe, jak nam się czasem wydaje), ale wzięły się one z doświadczenia, które podpowiadało, że badane obiekty lepiej „współpracują”, gdy podchodzi się do nich w określony sposób. W literaturoznawstwie to kryterium jednak nie działa. Poza tym należy pamiętać,

²⁰ Zob. np. B. Latour, S. Woolgar *Laboratory life. The social construction of scientific facts*, Princeton University Press, Princeton 1986; K. Knorr-Cetina *The manufacture of knowledge. An essay on the constructivist and contextual nature of science*, Pergamon Press, Oxford 1981.

²¹ Być może najbardziej konstruktywistycznie nastawieni badacze zaprotestowaliby mówiąc, że obiekty, które badają nauki przyrodnicze, są społecznie wytwarzane, stąd opozycja między naukami przyrodniczymi a naukami humanistycznymi nie może polegać na tym, że te pierwsze, w przeciwieństwie do tych drugich, zmagają się z jakimiś nie-społecznymi obiektami. Idę jednak tropem Latoura, który twierdzi, że fakty naukowe są co prawda bez wątpienia konstruowane, lecz na pewno nie są konstruowane jedynie z „materii” społecznej, bez liczenia się z właściwościami świata przyrody. Zob. B. Latour *Nigdy nie byliśmy nowoczesni. Studium z antropologii symetrycznej*, przeł. M. Gdula, Oficyna Naukowa, Warszawa 2001, s. 93 oraz tegoż *Splatając na nowo to, co społeczne*, s. 130. Na temat konstruktywizmu społecznego zob. m.in. A. Zybertowicz *Przemoc i poznanie. Studium z nie-klasycznej socjologii wiedzy*, UMK, Toruń 1995.

że, jak pisze Rorty, przyrodnicy zajmują się przede wszystkim przewidywaniem i kontrolowaniem zachowania rzeczy, a przewidywanie i kontrolowanie niekoniecznie musi być tym, czego oczekujemy po literaturoznawcach²².

Ta chęć do odnalezienia właściwej metody postępowania z literaturą doprowadziła do tego, iż przyczyniliśmy się do pogłębienia wrażenia o istnieniu przepaści między naszą rzeczywistością a rzeczywistością fikcji, ponieważ przepaść ta usprawiedliwiała poszukiwanie właściwych sposobów odnoszenia się do tej drugiej rzeczywistości. Skoro sam obiekt badań (tekst) nie był w stanie zapewnić kryterium, które pozwoliłoby odróżnić dobre interpretacje od tych niewłaściwych, to trzeba było, korzystając z narzędzi mającego długie tradycje dualistycznego sposobu myślenia, umiejscowić całą literaturę w innej rzeczywistości, a następnie wytyczyć reguły postępowania wobec niej. Badacze literatury i filozofowie, którzy ich wspierali, powtórzyli zatem to, co różni myśliciele robili już od dawna – rozszczępili rzeczywistość na dwie części. W przeciwieństwie do Platona i jego następców nie zrobili tego jednak w celu zdeprecjonowania tej drugiej rzeczywistości, ale po to, aby móc opracować odrębne, specjalistyczne sposoby postępowania wobec niej. Innymi słowy – aby móc stworzyć metodologię.

Wracając zaś do samego zagadnienia interpretacji, pojawia się z pewnością podejrzenie, czy takie tolerancyjne podejście do różnych sposobów interpretacji nie jest w gruncie rzeczy opowiedzeniem się po stronie neopragmatyzmu spod znaku Rorty'ego i Fisha. Wszystko zależy od tego, jak odczytamy poglądy amerykańskich myślicieli (zauważmy, że zazwyczaj, gdy staramy się zrozumieć teksty innych badaczy, podchodzimy do nich jak do zagadek).

W radykalnej wersji neopragmatyzm głosi, że nie da się dotrzeć do znaczenia tekstu, które nie byłoby konstruktem narzuconym przez czytelnika bądź wspólnotę, w jakiej się on znajduje. Przy takim podejściu zarówno autor dzieła, jak i ono samo są niejako bezbronni i wydane na pastwę czytelnika. Nie jest wtedy możliwe, aby tekst był zagadką, ponieważ, aby nią był, trzeba by założyć, że istnieje jakiś jej autor (empiryczny, modelowy, wewnętrzny czy jakkolwiek zechcemy go nazwać), który ją ułożył i do którego intencji mamy dostęp. Równie niemożliwe z tego punktu widzenia jest to, aby tekst był tajemnicą lub zaproszeniem do rozmowy, ponieważ obydwie te perspektywy także zakładają, iż istnieje w tekście coś niezależnego wobec kulturowych uwarunkowań, którym poddany jest jego czytelnik. W sposób oczywisty taka radykalnie pragmatystyczna postawa jest sprzeczna z poglądami wyłożonymi w tym tekście, sugeruje ona bowiem, że wszystkie podejścia do tekstu, które nie traktują go jako pretekst, są wynikiem błędu czy złudzenia, jedyna prawda jest zaś taka, że znaczenie tekstu w całości determinuje kontekst, w jakim jest czytany.

Można jednakże odczytać poglądy Fisha i Rorty'ego bardziej jako polemikę z podejściem strukturalistycznym i dekonstrukcjonistycznym (chodzi mi o de-

²² R. Rorty *Nauka jako solidarność*, w: tegoż *Obiektywność, relatywizm i prawda*, przeł. J. Margański, Fundacja Aletheia, Warszawa 1999, s. 62.

konstrukcjonizm spod znaku Paula de Mana, Barbary Johnson i Josepha Hillisa Millera, a nie o dekonstrukcję Jacques'a Derridy), niż jako wyraz radykalnego konstruktywizmu kulturowego. Przy takiej interpretacji amerykańscy myśliciele sprzeciwialiby się po prostu roszczeniom pewnych nurtów teoretycznych, których przedstawiciele twierdzili, że odkryli, czym naprawdę charakteryzuje się rzeczywistość fikcji i jaki jest najwłaściwszy sposób postępowania z nią. W takim wypadku ich stanowisko zbieżne byłoby z tym, o czym piszę w tym tekście. Nie twierdzą bowiem, że nie mamy dostępu na przykład do intencji autora bądź dzieła. Teza jest inna – odczytanie, którego ambicją jest dotrzeć do jakiejś ukrytej w tekście intencji nie jest filozoficznie lub teoretycznie bardziej uzasadnione od takiego, które traktuje dzieło jako pretekst do podzielenia się własnymi idiosynkrazjami. Nie chodzi tu więc o niemożliwość dokonania pewnych operacji (co zakładałaby radykalna wersja neopragmatyzmu), a o brak uprzywilejowania jednego podejścia do tekstu kosztem innego.

Sądzę, że są w poglądach zarówno Fisha, jak i Rorty'ego takie fragmenty, które uprawniają do stwierdzenia, że z ich tez da się wyciągnąć podobne wnioski do tych prezentowanych w tym tekście. Przy takim odczytaniu amerykańscy badacze wcale nie są radykalnymi konstruktywistami, twierzącymi, że w ogóle nie jest możliwe dotarcie do, na przykład, intencji autora danego tekstu.

Wystarczy bliżej przyjrzeć się poglądom choćby Fisha, aby stwierdzić, że wcale nie mają one takich daleko idących implikacji, jakby mogło się to zdawać. Jak wiadomo, podkreśla on, że jego teoria nie sprowadza się do twierdzenia, iż to, jak się zinterpretuje dany tekst, jest kwestią subiektywnego wyboru czytelnika. Tak być nie może, ponieważ „punkt widzenia, dzięki któremu powstają [interpretacje – dop. T.M.], jest publiczny i skonwencjonalizowany, nie zaś indywidualny i unikalny”²³. Każda interpretacja jest więc uzależniona od tego, do jakiej wspólnoty należy czytelnik jej dokonujący – nie może on interpretować dzieła literackiego w sposób dowolny. Fish dodaje też, że wszyscy należymy do niezliczonej ilości takich wspólnot²⁴. Co więcej, nie ma niczego w poglądach amerykańskiego badacza, co przeczyłoby możliwości, aby istniały takie wspólnoty interpretacyjne, do których należy zarówno czytelnik, jak i autor danego dzieła (nawet ten piszący w odległych czasach). Według poglądów Fisha, kiedy mówimy, że X i Y należą do tej samej wspólnoty interpretacyjnej, to mamy na myśli po prostu tyle, że istnieje dla nich jakaś podstawa porozumienia, ponieważ dzielają oni jakiś punkt widzenia²⁵. A taką płaszczyznę, na której jest możliwe pewne porozumienie, da się znaleźć nawet między współczesnym czytelnikiem a, dajmy na to, Janem Kochanowskim, ponieważ kultura zachodnia jest jednak, przynajmniej w niektórych

²³ S. Fish *Jak rozpoznać wiersz, gdy się go widzi*, przeł. A. Grzeliński, w: tegoż *Interpretacja, retoryka, polityka*, s. 96.

²⁴ S. Fish *Drogą antyformalistyczną aż do końca*, przeł. A. Szahaj, tamże, s. 178-179.

²⁵ S. Fish *Czy na tych ćwiczeniach jest tekst?*, przeł. A. Szahaj, tamże s. 73.

zakresach, czymś ciągłym i pewne idee czy poglądy wciąż są w niej obecne. Skoro zaś fakt bycia członkiem określonych wspólnot interpretacyjnych sprawia, że interpretujemy teksty tak a nie inaczej, to logiczną konsekwencją tego jest, że jeśli przynależymy z kimś do jednej lub większej liczby wspólnot interpretacyjnych, musimy, na pewnym poziomie ogólności, interpretować dany tekst tak samo jak ta osoba. Jeśli więc czytelnik należy do tych samych wspólnot interpretacyjnych, co autor danego dzieła, to musi, do pewnego stopnia, rozumieć to dzieło w podobny sposób jak jego twórca. Tym samym czytelnik ma przynajmniej umiarkowany dostęp do intencji autora.

Jeśli zatem Fish i Rorty miast przekonywać o tym, że każda próba potraktowania tekstu jako zagadki, tajemnicy bądź zaproszenia do rozmowy jest niefortunnym posunięciem, poddaniem się jakiejś iluzji, chcą po prostu powiedzieć, że nie ma teoretycznie bardziej i mniej uzasadnionych podejść do tekstu, to jest to teza tożsama z tą, do której przekonuję w tym tekście. Sądzę również, że jeśli przyjmujemy tę tezę, powinniśmy również zgodzić się na to, iż nie ma żadnego teoretycznego powodu (mogą za to być, w jakimś konkretnym przypadku, powody osobiste, etyczne lub praktyczne), który zabraniałby stosowania jednemu badaczowi wszystkich wymienionych podejść do zinterpretowania tego samego tekstu. Nie ma bowiem między nimi sprzeczności. To znaczy, zastosowanie ich do zinterpretowania tego samego dzieła literackiego przyniesie w sposób oczywisty odmienne, sprzeczne, wyniki interpretacyjne. Nie świadczy to jednak o tym, że sam fakt stosowania kilku podejść interpretacyjnych jest sprzeczny, że podejścia te nawzajem się wykluczają. Byłoby tak, gdybyśmy założyli, że żadną miarą nie możemy stosować narzędzi interpretacyjnych, które przynoszą sprzeczne wyniki. Ale dlaczego właściwie mielibyśmy to zakładać? Dlaczego dzieło nie może być pod pewnym względem spójną całością, a pod innym siedliskiem sprzeczności? Z jakiego teoretycznego powodu mielibyśmy z góry eliminować możliwość zastosowania wobec tego samego tekstu różnych metod interpretacyjnych?

Jak wspominałem, potraktowanie literatury jako składnika naszej codziennej rzeczywistości, może przynieść wielorakie skutki. Chciałem zarysować tylko jeden z możliwych, związany z głośnym swego czasu problemem interpretacji. Sądzę, że w tej kwestii rezultat zamazania opozycji między literaturą a rzeczywistością jest przede wszystkim taki, że zamiast poszukiwać właściwych sposobów postępowania z literaturą i opisywania jej samej, zaczniemy bardziej korzystać z wielorakich możliwości mówienia o niej. Zresztą to już się dzieje, także w polskim literaturoznawstwie (czego najlepszym dowodem są choćby teksty Markowskiego czy coraz większa popularność badań kulturowych w literaturoznawstwie polskim, które co prawda w inny od opisywanego tutaj sposobu, ale jednak wciągają literaturę na powrót do naszej codzienności²⁶), pozostaje tylko dalej i śmieiej eksplorować ten teren.

²⁶ Zob. *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. M.P. Markowski, R. Nycz, Universitas, Kraków 2010.

Abstract

Tomasz MARKIEWKA
Nicolaus Copernicus University (Toruń)

Literature, reality, interpretation

The article is divided in two parts. The first part is about relation between literature and reality. I try to show that there is a tendency in philosophy and literary theory to separate literature from reality. I argue (making a reference to thinkers like Bruno Latour) that it is a mistake and we should treat literature as an integral part of our everyday life. In the second part of my text I use the problem of interpretation to present the consequences of this thesis. I claim that if we abandon an above-mentioned dualistic point of view (reality – literature), we will also have to abandon a conviction that there is one proper way to interpret a literary text.